



MARZEC / KWIECIEŃ 2021 | NO. 10

KONFRONTACJE



**WYWIAD Z PANEM
MICHAŁEM MAŁKIEWICZEM**

**WIELKI POWRÓT
I KRWISTE POŻYWIE**

**Z CZEGO KONTENT BYŁ
IGNACY RZECKI?**

Spis treści

03

WIOSENNA
PROPOZYCJA
REFORMY
PROGRAMOWEJ, czyli
co powinno się czytać
na wiosnę

06

Skarpety i sandały -
ATRYBUT POLSKIEGO
TURYSTY?

08

Wywiad z panem
Michałem
Małkiewiczem

10

Historii nierządem
stojącej część dalsza

12

Z czego był kontent
Ignacy Rzecki? – czyli:
MY NAPRAWDĘ
czytamy lektury...

14

Jak być szczęśliwym (i
nie zwariować) w
dobie koronawirusa

15

Wielki powrót i krwiste
pożywienie

17

Diabły, duchy i pegazy
z papieru - część
pierwsza



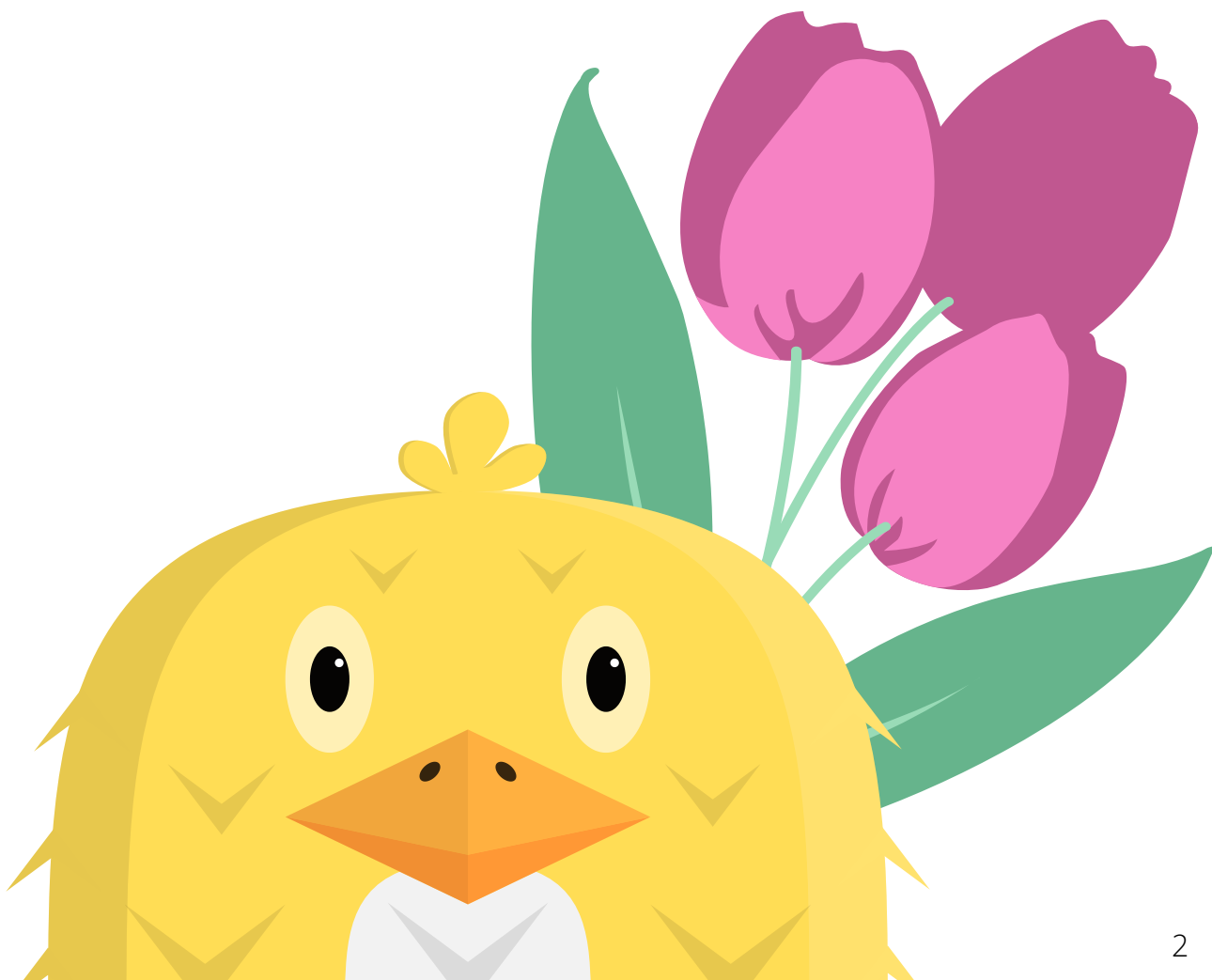
Od redakcji

Kto by pomyślał, że już jest wiosna? Przecież zaledwie trzy dni temu stawiliśmy się wszyscy pierwszego września w szkole, gotowi na rozpoczęcie tego, pozornie długiego, roku szkolnego.

Jednakże nie ma jeszcze czerwca, aby o tym myśleć. Przed nami w końcu pojawiła się perspektywa odpoczynku. Przerwa wielkanocna, czyż ona nie jest piękna? W końcu będziemy mieć choćby chwilę na to, aby odetchnąć, przejść się na spacer, usiąść w fotelu z książką, która KONIECZNIE nie jest lekturą czy też zalec przed telewizorem, komputerem, tabletem, czy telefonem i nadrobić zaległości w filmach i serialach.

Na nadchodzące święto chciałabym życzyć wszystkim i każdemu z osobna przede wszystkim zdrowia i wiele szczęścia. Hańbą by było nie życzyć także smacznego jajka i mokrego dyngusa, więc potraktujcie to jako kolejną część moich życzeń.

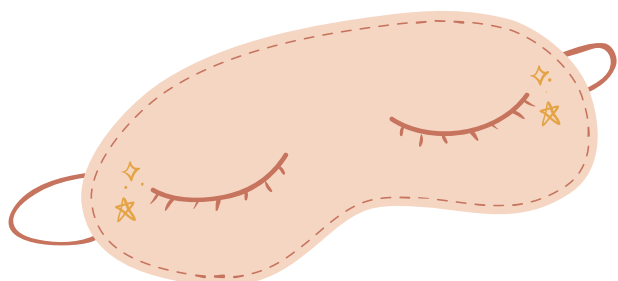
Redaktor naczelna
Anna Łapka



WIOSENNA PROPOZYCJA REFORMY PROGRAMOWEJ, czyli co powinno się czytać na wiosnę

„Początek wiosny sprzyja pojawianiu się nowych marzeń. Tak było, jest i będzie. Z pierwszymi promieniami słońca także moje serce i wyobraźnia przebudziły się z zimowego snu. Właściwie, to od początku marca nie żyję na Ziemi. Obecnie znajduję się w miejscu, którego nie może dotknąć żaden śmiertelnik z mniejszą niż moja wyobraźnią. Jeszcze w przeciągu najbliższych dni będę księżniczką, wróżką czy też główną antagonistką (bądź protagonistką) w mojej głowie. Wszystko zależne jest ode mnie i to ja decyduję, co będzie dalej”. Te właśnie słowa zapisałam sobie w moim notatniku, gdy myślałam o tym numerze KonFRONTacji. Myśl ta pojawiła się w mojej głowie, kiedy to w moim terminarzu nie widniały, praktycznie jedna na drugiej, daty ważnych sprawdzianów. Z końcem każdego marcowego tygodnia „syndrom rozjechanej żaby” pojawiał się coraz częściej. Miałam po prostu wszystkiego tak bardzo dosyć, że chodziłam spać później niż zwykle, bo noce były jedynymi momentami „tylko dla mnie”, które w biurokratycznym sumowaniu potrafiły być, jedynym w ciągu doby “czasem bezproduktywnym”, pozytywnie straconym.

„Kompletne szaleństwo. Siedzisz cały dzień przed ekranem i potem narzekasz, że nie masz na nic siły”. Takie słowa słyszałam z różnych stron, a początek wiosny wcale nie był taki magiczny i relaksujący jak przed laty. Byłam tak wycieńczona psychicznie i fizycznie, że jedyne, na co miałam ochotę, to albo oglądanie bajek, albo... Właśnie, „albo” co? Wciąż nie jestem w stanie pojąć tego, co się w tamtym okresie działo. Potrzebowałam jakiejś ucieczki do świata, w którym w końcu dokładnie wiem, co mam robić, ale nie jestem do tego z żaden sposób zmuszana jakimkolwiek „testem” czy innym narzędziem przymusu. Mój styl życia musiał się zmienić. Co prawda zainicjował to mój tata, ale jestem zbyt dumna, żeby to głośno przyznać. Magicznym sposobem okazało się, że właściwa ilość snu w ciągu doby faktycznie ma sens i jest o wiele przyjemniejsza niż oglądanie durnych filmików w internecie do późnej nocy. Lecz to wciąż nie dawało mi poczucia spełnienia, poczucia, że mogę w końcu pojawić się w świecie, który został stworzony właśnie z myślą o mnie.

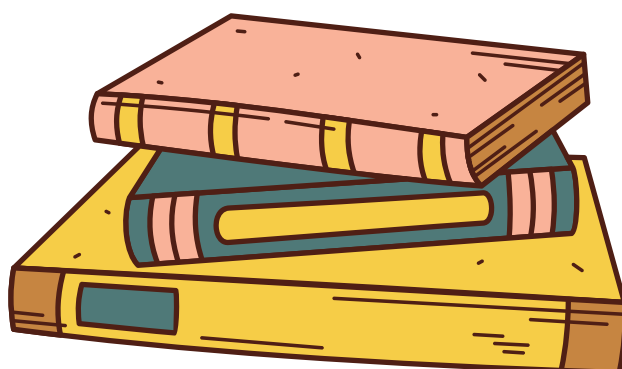


Jednak za najgorszą rzecz w tym okresie uznaję skandalicznie małą liczbę przeczytanych przeze mnie książek i okropne nastawienie do tych, które jednak czytałam. Każdy, nawet najmniejszy, wątek działał na mnie jak płachta na byka, a moja polonistka już sprawia wrażenie, jakby była rozczarowana moimi komentarzami dotyczącymi lektury, którą zaczynamy omawiać. (NIEPRAWDA! – komentarz polonistki)

Prawda jest taka, że potrzebuję resetu. Pamiętam, gdy byłam mała, nie potrafiłam zasnąć bez przeczytania chociaż jednego rozdziału jakiejś książki. Tyle, że ona zawsze była przyjemna, wybrana przeze mnie, a każdy wątek, który wzbudzał we mnie jakiegokolwiek negatywne emocje, znikał z prędkością światła.

Jednakże, jak już pisałam w poprzednim numerze, życie w liceum tak właściwie nie jest takie, jak w filmach. Jedną z rzeczy, które najbardziej mnie rozczarowały, są lektury, których akcja nawet w małym stopniu nie jest podobna do Romea i Julii czy też Dumy i uprzedzenia. Tak, Dżuma, Jądro ciemności wcale nie są przyjemnymi lekturami, które można czytać wieczorami, aby romantycznie pobudzać swoją wyobraźnię senną, projektować oniryczne podróże – ich tematyka nie pozwala zasnąć.

Lucy Mount Montgomery w Ani z Zielonego Wzgórza napisała „Gdy czyta się różne smutne historie, łatwo jest sobie wyobrazić, że bohaterko stawiamy czoło trudnościom, znacznie trudniej jest poradzić sobie z nieszczęściem, które naprawdę nas dotyka”. Te słowa to prawda w najczystszej postaci. Jednak czyż nie powinniśmy sami wybierać poziom smutku, z jakim chcemy się w danej lekturze zmierzyć? Czyż nie jest tak, że człowiek ucieka do świata wyobraźni, świata literatury, żeby zatracić się w owiniętych woalkami słowach i pozbyć się problemów i niesprawiedliwości? Oczywiście, twórczość pisarska, czytana dla przyjemności, nie składa się tylko z lekkich opowiadań, pełnych szczęścia i romansowych wątków. Przecież istotą gatunków, takich jak kryminał czy thriller, jest umożliwianie, a wręcz skłanianie czytelnika do porzucenia problemów i skupieniu się na przyjemności (niektórzy twierdzą że wątpliwej), jaką jest, chociażby, rozwiązywanie zagadki zaginionego obiektu czy martwego ciała.



Czyż nie przyjemniej żyłoby się w świecie z naszych wyobraźni? Dlaczego zatem czytamy dzieła wybitnych pisarzy, których nie potrafimy pojąć z powodu ogromu smutku i cierpienia, jakie się tam znajdują. Czyż to nie jest tak, że nasi rodzice mówią nam, że docenili epopeje narodowe dopiero jako dorośli ludzie? Dlaczego czytamy książki o kolonializmie w Afryce, skoro bez lekcji wprowadzającej, ich lektura wydaje się być szalenie nudna tylko dlatego, że nie jesteśmy w stanie w żaden sposób pojąć problemów, z jakimi borykali się ludzie tamtych (i czy tylko tamtych) czasów?

Ostatnie tygodnie były bardzo ciężkie, nie tylko dla mnie. Jednakże w tym wszystkim zabrakło mi zwykłego, spokojnego wieczoru z książką, która w pełni by mnie satysfakcjonowała (oczywiście, czas i mój wybredny gust to dwie różne rzeczy, bo albo mam czas, albo książkę, która choć trochę spełnia moje wymagania, nigdy obie rzeczy na raz). Mimo to, chodzenie wcześniej spać odblokowało we mnie możliwość śnienia. Znowu przeżywam nocą wspaniałe przygody (nawet jeśli są one pełne półmetrowych ślimaków, przez które mam traumę chodzić w nocy po domu bez kapci).

Stąd też mój apel do Ciebie, drogi czytelniku. Jeśli tak jak ja, przeżywasz teraz kryzys wyobraźni lub nie możesz sobie pozwolić na satysfakcjonującą cię lekturę, to na litość boską idź spać o dwudziestej drugiej i wejdź w świat fantazji, pomyśl, o świecie, w którym chcesz być z bohaterem, którego zapewne nigdy nie będzie dane Ci spotkać. Czas iść piechotą do lata, jak śpiewała pewna Beata z Lublina, ponieważ „Najgorsze jednak w wyobraźni jest to, że nadchodzi chwila, w której trzeba przerwać marzenie, a to bardzo boli” (L.M.M. Ania z Zielonego Wzgórza).

Cordelia Blythe



Skarpety i sandały - ATRYBUT POLSKIEGO TURYSTY?

Skarpety i sandały. Stereotypy głoszą, że to właśnie po tym zabójczym połączeniu można poznać Polaka na wakacjach. I chociaż niektórzy kojarzą nas właśnie z takim zestawem, to historia sandałów nie jest w żaden sposób związana z Polakami, z Polską też nie. Sięga ona kilka tysięcy lat wstecz, więc o naszym kraju nikomu się jeszcze wtedy nie śniło.

Pierwsze sandały nosili Starożytni Rzymianie i Egipcjanie, a także Japończycy i Hindusi. Sam sandał oznaczał kiedyś tylko podeszwę. Wykonywano ją z naturalnych surowców i mocowano do stopy rzemykiem czy inną plecionką. W każdej cywilizacji miały inną nazwę, formę, a nawet odmienne znaczenie kulturowe.

W starożytnym Rzymie funkcjonowały rzymianki – sandały zrobione z bydlęcej skóry, które wiązano rzemieniem. Były one dość wysokie, czasami sięgały nawet kolana. Nosili je gladiatorzy, arystokracja, a obywatele klasy średniej nosili podobne, ale trochę inne obuwie. Plebs chodził boso. Tak jak w greckim teatrze, w starożytnym Rzymie znaczenie miała wysokość koturnu w sandale. Im wyższe, im bardziej ozdobne, tym wyżej sytuowana była dana osoba w społeczeństwie. Moda na podobne obuwie odżyła w poprzednim wieku, a potem ponownie w naszym m. in. za sprawą filmów, takich jak „Gladiator”. Nie dotyczyło to tylko sandałów, a także tunik czy spódnic.

Natomiast w oddalonej Japonii ludność nosiła zōri, czyli 草履. Robiono je ze słomy ryżowej w połączeniu ze skórą albo jakimś wytrzymałym materiałem. Rodzaj buta, jego wygląd i wielkość zależała od wieku, płci i wykonywanej pracy. Sandały rolnika musiały być inaczej wyprofilowane, niższe i bardziej płaskie w porównaniu do zōri nastoletniej dziewczyny. Obuwie to zostało uwiecznione na wielu obrazach jako element ubioru portretowanej osoby, były one też kojarzone z Gejszami, tylko w innej postaci – drewniane i na podwójnym cienkim obcasie, czasem nazywane też getami. Istnieje też inny rodzaj butów kojarzony z Gejszami, a mianowicie przypominające koturny (a czasem nawet odwrócone żelazko) okobo. Jak możemy się domyślić, patrząc na zdjęcia przedstawiające zōri, to właśnie od nich pochodzą znane nam dziś japonki.

Następnym razem spoglądając na sklepowe półki z wystawionymi sandałami, pomyśl sobie o rzymskich żołnierzach przemierzających Imperium w swoich rzymiankach, o gladiatorach walczących w podobnym obuwiu, o japońskich Gejszach w okobo albo w getach, o rolniku zbierającym ryż w zōri. Myślę, że to znacznie ciekawsze niż wyszukiwanie ludzi w sandałach i skarpetach ;)))



~ Historyczka od zwykłych niezwykłych rzeczy

← okobo



geta →



← zōri



rzymianki →



← buty z greckiego teatru

Wywiad z panem Michałem Małkiewiczem

Redakcja KonFRONTacji: Jaka jest Pana ulubiona potrawa ze świni? Czy mógłby Pan powiedzieć jak ją przygotować?

Michał Małkiewicz: Wyczuwam haczyk w tym pytaniu. Nie jest bowiem tajemnicą, że świnie darzę ogromną sympatią, jednak przede wszystkim jako zwierzęta, nie mięso. Pytanie mnie zatem o to, jak je przyrządzam zakrawa na chęć wepchnięcia mojej skromnej osoby na minę :). Oczywiście nie zamierzam udawać, że w ogóle nie jem wieprzowiny, owszem, spożywam ją głównie w postaci wędlin lub mięsa mielonego w różnych potrawach. To ostatnie staram się jednak zastępować wołowiną. Gdyby na przykład zaczęli robić parówki z krowy, tych ze świni bym mógł już nie jeść :). A propos krowy i przepisów, mogę dać receptę na pyszny tatar lub zupę klopsową z klopsami wołowymi. Chętnych zapraszam na priv :)

RK: Wiemy, że nie samym mięsem Pan żyje.... Czy mógłby Pan przybliżyć historię wydania pańskiego utworu?

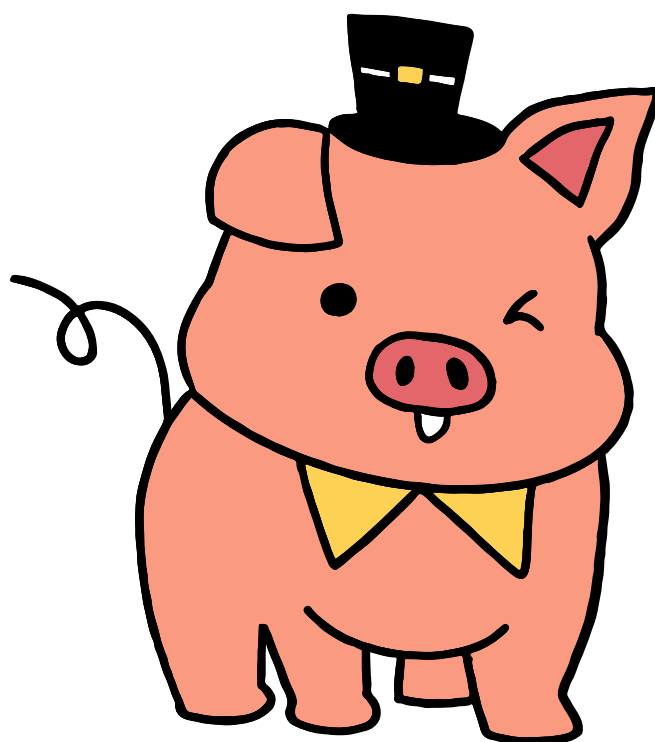
MM: Tzw. „Mój utwór” to właściwie trzy utwory tworzące jedną całość. Powstały gdzieś w grudniu 2005 roku na pożyczonym keyboardzie, który podłączyłem do magnetofonu. Nie były pierwszymi, które stworzyłem. Nagrywałem już wcześniej, zawsze na pożyczonym sprzęcie, gdyż swoim długo nie dysponowałem. Wszystko nagrane na kasetach lądowało w szufladzie. Zdarzyło się jednak, że poznałem gościa, który akurat startował ze swoim podziemnym labeliem. Wykazał on zainteresowanie owymi trzema utworami powstałymi w 2005 roku. Dzięki niemu nawiązałem też kontakt z człowiekiem, który w moim rodzinnym mieście zajmował się tworzeniem i nagrywaniem muzyki elektronicznej. Dzięki niemu, w jego domowym studiu mogłem zarejestrować te trzy utwory na profesjonalnym sprzęcie. Ostatecznie latem 2006 roku nagrany materiał został wydany przez wspomniany label w nakładzie 100 sztuk. Wydawnictwo to jest w istocie splotem utworów trzech wykonawców. Oprócz moich trzech kawałków, znalazły się tam utwory jednego muzyka z Niemiec i drugiego z Austrii, wszystkie w podobnym klimacie. Całość ma tytuł „Ira Deorum Obliviorum”, czyli gniew bogów zapomnianych. Mój zaś trzyczęściowy utwór to „Świt słowiańskiego słońca”. Tak, wiem, brzmi pompatycznie, ale nic na to nie poradzę, że byłem wówczas pod dużym wpływem historii Słowian Połabskich i ich walki z naporem niemieckim w obronie wiary przodków i swej tożsamości... :) Na marginesie, widziałem tą płytę ostatnio do kupienia w necie za 50 \$:)

RK: Jakie ma Pan optymistyczne rady na pandemię?

MM: I cóż ja mam Wam tu mądrego odpowiedzieć? Słaby jestem raczej w te klocki. Pierwsze, co mi przychodzi do głowy to to, że ludzkość miała już do czynienia z różnymi zarazami i każda prędzej, czy później ustępowała, więc i ta nie będzie wiecznie trwać. W końcu wszystko musi wrócić do normy. A do tego czasu na przykład dbajcie o Wasze wzajemne relacje, nie traćcie ze sobą kontaktu jako grupa rówieśnicza. Bo nawet jak nie możecie się spotkać twarzą w twarz, to macie internety, których ludzie kiedyś nie mieli. To oczywiście wszystkiego nie załatwię, ale nie jesteście skazani na kompletną izolację. Co jeszcze? W miarę możliwości nie żałujcie czasu na to, co najbardziej lubicie robić. Dobrze jest móc się w jakikolwiek sposób samorealizować w czasach gdy kontakty międzyludzkie są narażone na szwank. Ja na ten czas bawię się w modelarstwo figurkowe, nadrabiam zaległości w muzyce i literaturze. I na koniec pamiętajcie, że nie musicie ze wszystkiego mieć piątek :)



← „Ira Deorum
Obliviorum”



Historii nierządem stojącej część dalsza

Wieki mijają, mocarstwa upadają, zarazy panują, a na świecie już nic nie jest trwałe, czy pewne. Wydawałoby się, że przez dominację Kościoła Katolickiego nad średniowiecznym społeczeństwem Europy, stojącego na straży jego moralności i obyczajów, prostytutka byłaby ściśle zabroniona, tępiona, czy krwawo zwalczana - otóż nie do końca.

Na początku średniowiecza, jednym z największych zagrożeń życia społecznego, były częste zbiorowe gwałty. W celu oczyszczenia ulic z przestępczości i ochrony pobożnych kobiet przed hańbą, władze i kościół postanowiły nie tylko nie potępić prostytutki, ale ją rozpowszechnić. Tomasz z Akwinu, widząc w nierządzie „mniejsze zło” uznał, że spełnia ono w społeczeństwie rolę „swoistej toalety w domostwie” – może brzydko pachnie, ale bez niego cały dom pachniałby jeszcze gorzej.

Oczywiście, prostytutka nadal była odbierana przez lud (a właściwie przez jego część lub też taka ocena funkcjonowała jedynie w warstwie deklaratywnej) jako ciężki grzech i postępek nieopisany degradujący ludzką godność, dlatego też, aby uchronić przyzwoitych mieszkańców przed tego typu zepsuciem - a przynajmniej by uspokoić ich sumienie - władze zaczęły budować burdele z dala od miast i kościołów. W takich brudnych i biednych dzielnicach, domy publiczne często oznaczane były czerwonymi latarniami.

Władze wprowadziły regulacje, nie tylko co do godzin działalności lupanarów (burdeli), czy miejsc, w których mogły być zakładane tego typu przybytki, ale również co do ubioru samych prostytutek. Miały one nosić stroje, które znacząco oddzielały je od innych kobiet - częstym dodatkiem były na przykład dzwoneczki przy nakryciach głowy, lub czerwone wstążki noszone na ramieniu.

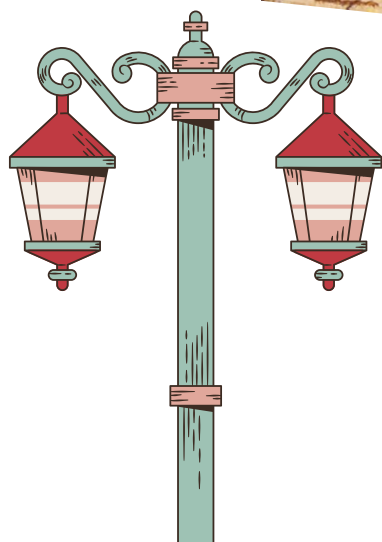
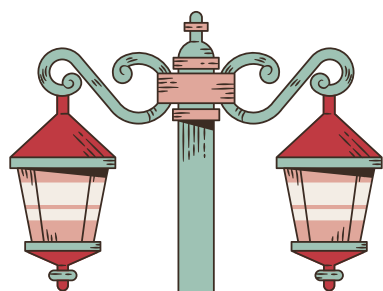
Z czasem, rządy wielu państw i głowa Kościoła zrozumiały, że prostytutka to całkiem dochodowy interes - Klemens II ustanowił prawo, zgodnie z którym nierządnice miały oddawać połowę swojego zarobku na rzecz Kościoła, a na burdele naniesiono osobne podatki. A któż zajmował się ich poborem? Otóż miejscy kaci, którzy obchodzili te nieczyste przybytki, gdy tylko zwalniał się termin pomiędzy egzekucjami.

Wszelkie większe wydarzenia, takie jak: festiwale, sejmy, czy zjazdy zawsze przyciągały do miasta potencjalnych klientów. Dlatego nie dziwnym jest fakt, że na sejm w Frankfurcie (w 1394 roku) zjechało się ponad 800 prostytutek, a na Sobór w Konstancji przybyło ich nawet 1400.

Prostytucja w średniowieczu rozkwitała, klientów nigdy nie ubywało, a przez opodatkowanie wspierała ona nawet rozwój miast - a wydawać by się mogło, że były to najmroczniejsze czasy w historii tego fachu.



Anton



Z czego był kontent Ignacy Rzecki? – czyli: MY NAPRAWDĘ czytamy lektury...

Pana Ignacego Rzeckiego, jednego z głównych bohaterów „Lalki” Bolesława Prusa nie trzeba naszym czytelnikom przedstawiać. Idealista polityczny, zagorzały bonapartysta i gorliwy swat Heleny Stawskiej i Stanisława vel „Stacha” Wokulskiego. Nie wiadomo, ile dokładnie ma lat, wiadomo natomiast, że jest człowiekiem starym, co tak często podkreśla narrator, a przez co czytelnikowi wydaje się on być człowiekiem chorowitym i niemalże kruchym. Codziennie od dwudziestu pięciu lat wstawał o szóstej rano, mył się (zaklinając rzeczywistość i przekonując siebie samego, że „nabiera przecie ciała”) po czym szedł do sklepu, w którym był subiektem. Jak to się stało, że człowiek uczestniczący w tak niepozornej codzienności miał tak wiele do opowiedzenia w swoim „Pamiętniku starego subiekta”?

W głębi duszy był on bowiem romantykiem, przedstawicielem poprzedniej epoki, marzącym o przybyciu Napoleona na białym koniu, który wyzwoliłby Polskę z kajdan zaborcy. Życie doświadczyło go nie raz: wychowywał się bez matki, a ojciec zmarł przedwcześnie, prawdopodobnie gdy „Ignaś” był jeszcze nastolatkiem. Rzecki był także świadkiem okrucieństw, które miały miejsce podczas Wiosny Ludów oraz na własne oczy ujrzał akt samobójczej śmierci swego przyjaciela i druha Augusta Katza.

Miał wiele do powiedzenia. Niestety zdaje się, że poza czytelnikami niewielu chciało go słuchać. Być może właśnie dlatego, spełniając marzenia przychodzących do sklepu klientów, znajdował docenienie i spełnienie potrzeby uznania.



Skłaniam się jednak ku innej teorii, że Ignacy Rzecki, jako introwertyk, który tak wiele przeszedł, w tej właśnie rutynie i regularności odnajdował spokój i spełnienie. To właśnie za kontuarem (masywnym drewnianym blokiem służącym za ladę) sklepu należącego do Stacha Wokulskiego miał własny „kawałek podłogi”, który przynajmniej pozornie dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Być może dlatego właśnie wydawał się być ukontentowany swoją szarą codziennością.

Skończyło się to jednak bardzo brutalnie, gdy Stach zniknął, a kawałek podłogi za kontuarem przeszedł w ręce Szlangbaumów. Bańka mydlana pękła, a Ignacy Rzecki odszedł wraz z romantyczną wizją świata.

Katherine Parr





Jak być szczęśliwym (i nie zwariować) w dobie koronawirusa

Doprawdy nie trudno było napisać coś, co wpisywałoby się w ten temat... (szczególnie, gdybym stworzył jakiś poradnik, gazetę, czy tylko FB). Z reguły jestem optymistą, czyli właśnie szczęśliwym człowiekiem, lecz także zdarzają się (również i w mym) życiu chwile smutku i melancholii. Jest już wiosna, przyroda budzi się z zimowego snu, dni stają się coraz dłuższe i powracają nam chęci do życia (a przynajmniej tak powinno się dziać). Słyszę jednak, że na ogół mój radosny, uśmiechnięty wyraz twarzy jest osamotnioną wyspą na ekranie teamsowych okienek..

Ktoś mógłby mnie zapytać: jak to jest, że w większość dnia chodzę uśmiechnięty? Według mnie życie składa się z wielu sfer: sport, przyjaźnie, rodzina itd. (co niepojęte, nawet nauka może nią być). Według mnie każdy powinien mieć jak najwięcej takich obszarów (części) życia, po to, by w każdym momencie mógł uciec do innej. Często nazywam to ucieczką od rzeczywistości: gdy jedna sfera „nawala”, ratujemy się inną i przez to, że przez tę drugą czujemy się lepiej, to łatwiej jest nam naprawić tę pierwszą. Innymi słowy: wielość rzeczywistości!

Jak więc podzielić sobie życie na takie odłamy? - Sprawa jest niezwykle prosta. Wystarczy, że znajdziesz coś co Cię interesuje i jest dla Ciebie pożyteczne. Za sprawą tej „innej rzeczywistości” spróbuj przeżyć negatywne emocje z tej drugiej. Najważniejsze jednak (o czym niektórzy zapominają, lub co wypierają) jest przeżycie i „przetrawienie” negatywnych uczuć. To zupełnie co innego niż ucieczka od nich („siedzenie na telefonie”, gdy jesteśmy smutni jest ucieczką od emocji, więc starajcie się tego unikać, chyba że dzwonicie i rozmawiacie z przyjacielem, który poprawia Wam humor, podwyższa Waszą samoocenę, mówiąc, że może gdzie „potknęliście się”, ale w końcu w tylu innych sytuacjach byliście naprawdę świetni – pamiętać, żeby być takimi „dowartościowaczami” dla swoich najbliższych).

Robi się coraz cieplej i mimo tego że lockdown nas nie rozpieszcza, to warto (nawet dla siebie) uciec w sferę sportu, wyjść na spacer, pobiegać czy pojeździć na rowerze. Nadchodzi Wielkanoc, a wraz z nią odradza się nasza radość i szczęście. Życzę wszystkim Wesołych Świąt!

Nieznany artysta, pisarz

Wielki powrót i krwiste pożywienie

Dzień dobry, drodzy Żelkożercy! Dawno się nie odzywałam, ale już do Was wracam ze zdwojoną mocą i chęcią zmian w Waszym myśleniu na temat zdrowego żywienia. Mam nadzieję, że ostatnia owsianka Wam smakowała, oraz że dzisiejsza niespodzianka będzie równie dobra. Tym razem zaserwuje Wam ciasto... i nie, nie przywidziało się Wam. Chodzi mi o słodkość z krwi i kości, bo zawiera ona czekoladę, którą ja osobiście kocham równie mocno, jak bajkę o Małej Syrence.

Jednak to ciasto zachwyci nie tylko Was, ale również Wasze rodzinne guru cukiernictwa, które z wprawą polskiego cukiernika - Pawła Małeckiego, zawsze mówiło o zbyt dużej ilości cukru w cukrze lub proszku do pieczenia w świeżo upieczonym wypieku. Obiecuje Ci, że TO brownie nie jest kolejnym gniotem czekoladowym, z zakalcem na ponad połowie powierzchni przysmaku, a co więcej jest po prostu inne niż większość jego słodkich koleżanek. Dlaczego? Odpowiedź, pomimo, iż wydaje się niesamowicie skomplikowana, wcale taką nie jest, ponieważ tajemnym składnikiem dzisiejszego brownie jest najzwyczajniejsza cukinia.

Oczywiście teraz można by mi było wypomnieć, że mówię o jedzeniu ciasta, które posiada te wszystkie złe składniki, a wcześniej wypowiadałam się o zdrowym stylu życia, ALE... Po pierwsze przecież wszyscy tutaj jesteśmy mili i sympatyczni dla siebie, a szczególnie dla piszącej ten artykuł, a po drugie czasem dla równowagi trzeba zjeść coś, co wydaje się zakazane. I nie, nie chce żebyście mnie źle zrozumieli, że codzienna dyspensa jest świetna, ale raz w tygodniu... czemu by nie. Oprócz tego chciałabym wspomnieć o tym, że powinniśmy wyrzucić do kosza słowo zakazany, w momencie, w którym mówimy o jedzeniu, ponieważ moim skromnym zdaniem dozwolone jest wszystko, ale z umiarem. Czytelniku, zapamiętaj moje ostatnie zdanie i nie próbuj go zapomnieć, bo jeśli to zrobisz to znajdę Cię i powiem, to co w danym momencie będę uważać.

Chcę dzisiaj podkreślić, że zdrowe jedzenie, to nie tylko sałatki i gotowany kurczak, ale również ciasta (i nie chodzi mi tylko o te, które w swoim składzie posiadają warzywa) i inne przysmaki, które aktualnie nie przychodzą mi na myśl. Wracając do Ciebie, Drogi Żelku, mam nadzieję, że moja propozycja okaże się i dla Ciebie zjadliwa, a nawet smaczna do tego stopnia, że pójdziesz do kuchni po drugi kawałek.



Trzymajcie się wszyscy smacznie i zdrowo!

BROWNIE Z CUKINI

1,5 średniej cukinii
7 łyżek masła
1 jajko
1/2 szklanki ksylitolu lub erytrolu lub najzwyczajszego cukru
1/2 szklanki mąki pełnoziarnistej
1 łyżeczka ekstraktu waniliowego cukru z prawdziwą wanilią
1/3 szklanki kakao
1 łyżeczka proszku do pieczenia
1 łyżeczka soli
2 paski gorzkiej czekolady (min. 70 % kakao)
Polewa
3-4 paski gorzkiej czekolady (min. 70 % kakao)
1 łyżka oleju
Sos malinowy
450g malin

SPOSÓB PRZYGOTOWANIA:

Piekarnik nagrzewamy do 180 stopni. Obieramy cukinię i ścieramy na najmniejszych oczkach do dużej miski. Odciskamy, by usunąć nadmiar wody, np. przez ręcznik papierowy. Odlewamy wodę, zostawiamy cukinię. Dodajemy roztopione masło, jajko, słodzik, aromat wanilii i dokładnie mieszamy.

Następnie dodajemy mąkę, proszek do pieczenia, sól, kakao, pokruszoną czekoladę i dokładnie mieszamy. Ciasto powinno mieć gęstą konsystencję - jak standardowe ciasto czekoladowe. Jeżeli jest za suche, można dodać trochę wody.

Błazkę prostokątną (25x36cm) pokrywamy papierem do pieczenia. Pieczemy przez 30 minut lub do tzw. suchego patyczka.

Polewa: Gdy ciasto wystygnie, zabieramy się do robienia polewy. Nastawiamy garnek z wodą. Gdy woda zacznie się gotować, kładziemy na nią miseczkę i wrzucamy do niej olej i pokruszoną czekoladę. Gotująca się woda wytworzy ciepło na miseczce i ładnie roztopi nam czekoladę. Gotową polewę wylewamy na ciasto.

Sos malinowy: Maliny włóż do garnka i trzymaj je tam tak długo, aż nie będzie żadnego żywego owocu. Brownie z polewą połóż w towarzystwie tulącego się do ciasta sosu malinowego. Smacznego!

Diabły, duchy i pegazy z papieru – część pierwsza

Diabły, duchy i upiory wyciągały ku czytelnikowi swe dłonie z okładki, kusily go i, jeśli tylko ten pozwolił, porywały go w odmęty nieznanych mu sił i rozświetlały mu drogę do papierowego królestwa poetów...

A to wszystko tylko w międzywojennym Lublinie, proszę państwa!

W grudniu 1921 roku w Lublinie ukazał się pierwszy numer pisma o charakterze literackim zatytułowany „Lucifer”. Drugi (i ostatni) numer wyszedł w marcu 1922 roku. Pismo zamieszczone było w wiele kontrowersyjnych spraw, co niestety nie przyczyniło się do jego długoletniej publikacji, a już sama nazwa była swoistą prowokacją obyczajową. Pierwsze numery uległy konfiskacie z powodu wiersza Konrada Bielskiego „Dytyramb szatański”.

Okładka numeru 2-4 „Lucifera”, zaprojektowana przez Jana Wydrę, wprowadza nas w wizję prawdziwego piekła: wynurzające się z bagien ogromne, wygłodniałe ręce, demon, którego zdeformowane palce wykrzywają się i wydłużają jak oślizgłe pęki glonów; antychryst wykrzywiający swą dłoń, jakby w ostatecznym geście, wrona powoli rozbijająca dziobem czaszkę jakiegoś nieszczęśnika... i spoglądające na to wszystko bezkształtne, czarne istoty, których ślepie, uważnie obserwują całą, groteskową scenę. Nie wiadomo nawet na których szczegółach czytelnik powinien się skupić najpierw. Niewątpliwie pod względem graficznym okładka „Lucifera” jest piękna – note bene jak większości czasopism literackich wydawanych w dwudziestoleciu międzywojennym w Polsce.

To właśnie skandale, mrok i odrobina prowokacji napędzały grupę skupionych wokół ośrodka lubelskiego, ale kiedy tylko pierwsze emocje po wydaniu opadły, okazały się, co za prowokacją artystyczną skrywało się tak naprawdę – brak konkretnego pomysłu na siebie. Członkowie redakcji rozstali się poróżnieni o poziom literacki materiałów do następnego numeru pisma, ale ich głowy nadal zaprzętał niepokój wydawniczy i po jakimś czasie utworzyli oni nowe, prawdziwie awangardowe czasopismo – „Reflektor”, które stało się najważniejszym pismem literackim, jakie ukazywało się w Lublinie w okresie międzywojennym. Kogo jednak szanowni panowie mogli poprosić o zaprojektowanie okładki do kolejnego zbioru skandali, krwawych romansów i katastroficznych wizji? Oczywiście, swojego starego, dobrego przyjaciela Jana Wydrę.

Wacław Gralewski (jeden z twórców Reflektora) mówił o projekcie okładki tak: „Podobnie jak przy „Luciferze” okładkę projektował Jan Wydra. Tłumacząc słowo literackie na język plastyczny, uległ pokusie elementów symbolicznych i stworzył alegorię. Trupia czaszka uosabiająca glob ziemski, na którym siedzi skrzydlaty ludzki duch wpatrzonego w głębiny wszechświata, a ponad nim wielka kometa, której ognisty ogon jest jakby reflektorem rzucającym światło w głębie, w które właśnie wpatrzonego jest, gotowy do lotu, ów ludzki duch”.

Jak widzimy motyw światła, prometeizmu, czy po prostu „Lucyferyzmu” przekradał się przez wszystkie okładki czasopism Gralewskiego, za pomocą fantastycznej kreski Wydry. Na przełomie Wyszły jedynie cztery, numery „Reflektora” - pierwszy, nienumerowany, w czerwcu 1923 roku, a ostatni w maju 1925 roku. Tym tekstem otwieramy rubrykę poświęconą czasopismom literackim ukazującym się w Polsce w dwudziestoleciu międzywojennym. Pomysł zrodził się podczas przygotowań prezentacji ugrupowań poetyckich – niezależnie od siebie kilkoro uczniów zwróciło uwagę na niesamowitą szatę graficzną różnych czasopism. Kunszt artystyczny, przemiany w zakresie stosowanych technik, ale i kodu symbolicznego, ekspresja czarnej kreski... to wszystko zrobiło na nas wielkie wrażenie. Dziś mamy programy graficzne – w dwudziestoleciu mieli tusz, piórko, linoryt, akwafortę... Spójrzcie w skupieniu, a może spróbujecie odwzorować na białej kartce cienkopisem lub bruschmarkerem te cuda?



← Reflektor



Rabendott



Lucifer





KONTAKT

Szukajcie nas na Instagramie

 <https://www.instagram.com/konfrontacje9lo/>

Czekamy na informacje od Was: co najbardziej spodobało się Wam w tym numerze i co chcielibyście zobaczyć w następnych.

W sprawie współpracy prosimy o wiadomość prywatną na Instagramie.

